



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

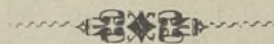


## OSOBLIWE DRZEWO.

Przed kilkudziesięciu laty w wielu parkach można było widzieć drzewa, którym ogrodnicy nadawali kształt wież, piramid, ptaków, trójkątów, obcinając i naginając gałęzie stosownie do swej fantazyi. Przyznajemy, że dla nas piękniejsze są naturalne kształty drzew od tych, które im sztuka nadać może. Każde prawie drzewo ma sobie właściwą postać czyli pokrój, po którym rozpoznać go można; zdarzają się jednak i w naturze osobliwości, których sztuka nie odtworzyła dotąd.

Spójrzmy na załączoną rycinę, która przedstawia wąż zgięty w kształcie łuku. Nie wiadomo z pewnością, która podstawa łuku jest starszą, zapewne jednak ta, przy której strzela gruba odnoga.

Szczególnej postaci wąż znajduje się w Stanach Zjednoczonych w Ameryce, w niewielkim lesie; ma sto pięćdziesiąt centymetrów obwodu; pod tą arkadą naturalną wygodnie przejść może nawet wysoki człowiek. A jakże to łatwo wdrapać się na takie drzewo, nieprawdaż?



# SYN MARNOTRAWNY

POWIEŚĆ

E. Jerlicza.

Julcia Rodowska miała lat szesnaście, jasne włosy, niebieskie jak niezapominajki oczy, figurkę drobną, szczupłą tak, że patrząc na nią można jej było dać lat najwięcej piętnaście, a jednak na barkach tej wątłej dziewczeczki spoczywał ciężar, któremu podołaćby mogła zaledwie dorosła kobieta. Oto ni mniej ni więcej tylko zarządzała ona całym domem ojcowskim i wychowywała dwoje młodszego rodzeństwa.

Ale Julcia była dzielna, odważnym dziewczęciem; umiała ona dobrze patrzeć swemi rozumnymi oczami i widzieć różne rzeczy, na które inne dziewczęta nie zwykły zwracać uwagi.

Wiedziała, że ojciec ich pracował ciężko, bardzo ciężko, że na głowę tego biednego ojca spadały troski jedna po drugiej i odrazu w serduszkach jej zrodziło się postanowienie uczynić wszystko, co było w jej mocy, aby pomódz choć cokolwiek ojcu w jego trudach i zmartwieniu.

Było to zaraz po śmierci matki. Straszny ten cios ugodził w nich półtora roku temu i na razie zdawało jej się, że złamał jej serce na zawsze; nie mogła się pogodzić z tą myślą, że już niema tej, która była aniołem opiekuńczym całego domu, której wpływ łagodny, dobroczynny dawał się uczuwać nieustannie, a nadewszystko która miłością tak wielką, tak bezgraniczną otaczała swoje dzieci: że już niema tej drogiej, najlepszej, ukochanej mamy. Julcia nie mogła się pogodzić z tą koniecznością, nie mogła o niczem myśleć, uciekała do najstronniejszego pokoju i pogrążona we łzach, oddawała się swojej boleści.

Ale długo to trwać nie mogło.

Julcia widziała rozpacz i żal ojca, opuszczenie młodszych dzieci i pomyślała sobie, jakby to bolesnem musiało być dla mamy, gdyby patrzyła na to wszystko i widziała, że najstarsza jej córka oddaje się samolubnie własnemu smutkowi, a nie stara się ulżyć cierpieniu najbliższych sobie. Nie zatroszczy się o małego sześciolatniego braciszka, ani o Zochę, mającą półtora roku zaledwie, wątłą, delikatną małość, które mama wychowywała tak jak kurczątko w puchu prawie, takie to było słabutkie i takie skutkiem tego ukochane przez wszystkich za życia mamy, a teraz pozostawione opiece sług płatnych.

Gdy raz poczucie obowiązku zrodziło się w duszy Julci, postanowiła ona postąpić tak, jak wiedziała, że mama postąpiłaby, gdyby była na jej miejscu. Kryjąc więc własną boleść w głębi duszy, starała się być we wszystkim pomocą ojcu, ażeby przyjmując drobne troski i kłopoty na swoje barki, oszczędzić mu z tej strony przynajmniej zmartwień i niepokoju. Bo od chwili śmierci matki nieszczęścia jedno za drugim zaczęły spadać na głowę biednego ojca. Jeszcze nie zdolał odboleć świeżej straty, gdy musieli opuścić Kalinek, ten ukochany Kalinek, gdzie każde drzewo nieledwie, każdy krzew był zasadzony ręką mamy, ojca, lub ich dziadka jeszcze. Z posiadacza wioski, z człowieka zamożnego, pan Rodowski schodził na ubogiego pracownika, poszukującego chleba dla siebie i dzieci swoich. Dzięki swej niespożytej energii, sile woli i wytrwałości charakteru, przyjął tę zmianę losu spokojnie i bez skargi, wyrzekłszy te tylko słowa: że straty materialne to nic w obec ciosów, które nam padają w duszę.

Julcia wiedziała o czem tak mówiąc myślał ojciec. Wiedziała, co go dręczy, co wywołuje tę groźną chmurę na jego czoło, żal i niepokój ścisłał jej serce. Ona nie mogła potępić brata; tylko... tylko żal go jej było bardzo. Pamięta tego najstarszego braciszka, tego ślicznego

chłopca, o dużych ciemnych oczach i jasnym uśmiechu na ustach. Pamięta, kiedy była jeszcze małym dzieckiem, jak Lucyan przyjechał do domu na wakacje jako uczeń gimnazjum, w mundurku z błyszczącymi guzikami, jak od pierwszego dnia potrafił sobie ująć wszystkich w domu, jak był dobry, miły, uprzejmy dla każdego; jak bardzo kochał mamę, chociaż dla niego nie była rodzoną matką, jako druga żona ojca. Wprawdzie mama kochała go na równi ze swemi dziećmi, ale on odwzajemniał się jej najczulszem przywiązaniem; dla Julci był najlepszym bratem, wymyślał jej zabawki, nosił, huśtał, prowadził na spacer, trzymając za rączkę. To też Julcia cieszyła się ogromnie gdy miał przyjechać.

Ale od kilku lat Lucyan bardzo rzadko bywał w domu. Chował się on u babki, osoby bardzo zamożnej, która wzmogła na panu Rodowskim, gdy ten wchodził w powtarzalne związki małżeńskie. Żeby przy niej zostawił wnuka, na co ojciec zgodził się po długim oporze, mając wzgląd na osamotnienie biednej staruszki, która oprócz wnuka nie miała nikogo więcej na świecie. Pan Rodowski, zgadzając się na powierzenie babce syna, zastrzegł sobie, że kierownictwo w wychowaniu chłopca przy nim pozostanie. Dał synowi doświadczonego nauczyciela, następnie gdy Lucyan skończył gimnazjum, idąc za wolą ojca, który wymagał, aby sobie obrał fach jakiś odpowiedni, udał się na wydział technologiczny. Tymczasem umarła jego babka, a po jej śmierci okazało się, że z majątku, który uważany był za ogromny, nie nie pozostało, skoro zlikwidowano ciężące na nim długi. Lucyan uczęszczał już od dwóch lat na technologię. Przed udaniem się tam przybył do domu, ale mamie już było bardzo niedobrze i tylko siłą woli ukrywała złe, które nurtowało jej organizm. Julcia z sercem przepelnionem uczuciem wdzięczności przypomina sobie, jak Lucyan w chwili pożegnania, gdy już miał odjeżdżać, przyciskał ze łzami w oczach białe, wychudzone ręce mamy do ust, jak ją błagał i zaklinał, aby pamiętała o swoim zdrowiu, potem nie był już na jej pogrzebie. Do ojca pisywał z początku regularnie, później przestał pisywać, a ilekroć Julcia zapytała ojca o najstarszego brata, twarz pana Rodowskiego przybierała ponury wyraz. Potem znów jakieś listy zaczęły przychodzić do ojca bardzo często, a po otrzymaniu każdego podobnego listu pan Rodowski zamykał się w swoim gabinecie z kądem wychodził spokojny na pozór, ale bardzo smutny i bardzo posępny, groźny prawie, prztem zaczął ogromnie siwieć, on, który do tej pory nie miał ani jednego srebrnego włosa.

Aż nakoniec, Julcia nie zapomni nigdy tej chwili, pewnego dnia nadszedł do ojca list gruby, w dużej kopercie, pan Rodowski, który tylko co powrócił z pola, rozerwał pieczętkę i zaczął czytać, nie odszedł nawet do swego gabinetu, tak mu było pilno poznać treść listu. Julcia widziała jak w miarę tego jak czytał, ręka mu drzcąc zaczęła, i nagle list upadł na ziemię, ojciec zachwiał się cały, osunął się ciężko na krzesło, ukrył twarz w dłoniach i siedział tak bez ruchu i czucia. W Julci zamierało serce od trwogi i żalu, lecz nie śmiała żadnem słowem przerwać boleści ojca, stała, drżąc na całym ciele, lecz nie odważyła się nawet najlżejszem poruszeniem zdradzić swej obecności. Po dłuższej chwili pan Rodowski westchnął ciężko, a westchnienie to zupełnie było podobne do jęku. Dłużej Julcia nie mogła się powstrzymać; niepokój o ojca przemógł w niej obawę jego gniewu, podbiegła do pana Rodowskiego, objęła jego kolana drobnymi rączkami i głosem, w którym łzy brzmiały, zapytała cicho:

— Ojcie drogi! co tobie.

Pan Rodowski teraz dopiero spostrzegł obecność córki; położył ciężko rękę na jej jasnej główce i przez chwilę wpatrywał się w jej oczy w milczeniu. Śnać z twarzy dziewczeczki wyczytał coś, co mu mówiło, że córka jego zdolną była pojąć wielki ból i przyczynę, która go wywoływała, gdyż odkrył przed nią zgryzotę swoją.

Lucyan był przyczyną strasznego bólu dla serca ojca. Lucyan znajdował się na złej, na bardzo złej drodze. Wychowany przez babkę, która go pieściła i dogadzała wszystkim jego zachciankom, przywykł do życia miękiego i zbyt-

kownego, wyrósł na wykwintnego panicza, któremu się zdawało, że ma prawo rzucać pieniądze na wszystkie strony, bo dostatecznie będzie na to bogatym, odziedziczywszy majątek po babce. Gdy śmierć babki okazała jak zawodnemi były wszystkie te nadzieje, Lucyan rozpieszczony życiem, jakie wiódł dotąd, nie miał dosyć siły woli, ani hartu, żeby zerwać z dotychczasowemi swemi nawyknięciami, z towarzystwem bogatych kolegów i pokazać się tem, czem był w istocie: ubogim chłopcem, zmuszonym własną pracą wyrabiać sobie byt i stanowisko; nie poprzestając na skromnym ale dostatecznym zasiłku, przesyłanym mu przez ojca, zaciągał długi, które wzrosły do olbrzymiej cyfry; zabrnął tak, że dziś, jeżeli ich nie spłaci, czeka go... niesława...

— Czekaj go niesława! wyrzekł do siebie głucho, z rozpaczą, pan Rodowski. — I to on! Lucyan, on, mój syn!

— Naturalnie, kończył po chwili przerwy, nie dopuszczając tego, pospłacam jego długi, ale w obecnem położeniu to dokona naszej ruiny. On stanie się winnym niedoli reszty moich dzieci. Ach! tego mu nie przebaczę nigdy, nigdy!

Julcia słuchała tych słów ojca z twarzyczką pobladłą, z rękami bezwładnie opuszczonemi, widziała jak bardzo rozgniewany był na Lucyaną, znała surowość i nięgiętość ojca w tem, co za złe uważał, przyznawała, że miał słuszość, lecz jej było bardzo żal tego biednego brata, który nie miał tego hartu, ani siły woli, co ojciec, i w sercu swem czuła ogromne pragnienie umniejszenia jego winy. Więc podnosząc na ojca oczy pełne błagania, wyrzekła cicho:

— Mój drogi ojcze, jeżeli towarzysze wciągnęli go do złego, to może on nie jest tak bardzo winnym...

— Tak, rzeczywiście, najwinniejszym w tem wszystkim to jestem ja, wyrzekł pan Rodowski z boleścią.

— Ojcze!

— Tak, moja wina, że zgodziłem się na to, aby Lucyan chował się przy babce, kobiecie znacznej wprawy, ale słabej i zaśleponej w swoim wnuku; moja wina, że nie przewidziałem następstw, jakie podobne wychowanie i otoczenie w domu urządzonym na wysoką stopę wyrwie na jego charakter, ale też ukarany za to jestem strasznie... strasznie!

Ta skarga ojca była bardzo bolesną dla Julci, ach! jak bolesną, ale równocześnie pragnęła obudzić w sercu jego trochę litości dla winnego, więc szepnęła cichutko:

— I on cierpi teraz bardzo nad tem, cierpi z pewnością.

— Powinien cierpieć? wyrzekł pan Rodowski surowo. Niestety! ja liczyłem na to, że on, mając byt spokojny i środki kształcenia się zapewnione, będzie korzystał z tego całem siłami, że zostanie człowiekiem użytecznym, że będzie kiedyś opieką i podporą wam, młodszym... a on... a! to okropne!

— Czy on pisał do ciebie ojcze? zapytała Julcia.

— Nie; odrzekł krótko pan Rodowski, ale ja dziś jeszcze napiszę do niego.

— Dziś jeszcze?

— Tak. Zapowiem mu pod błogosławieństwem, aby natychmiast wracał do domu. Trzeba go wyrwać z tańszych stosunków i otoczenia, a jeżeli pozostało w nim jakiegokolwiek poczucie godności własnej, powinien starać się naprawić to złe, jakie wyrządził sobie, mnie i ogółowi do którego należy. Pan Rodowski wyrzekł to tonem ostrym, twardym prawie, poczem jakby dla złagodzenia słów swoich, przyciągnął córkę do siebie, przytulił jej jasną główkę do piersi i wyszedł, pozostawiając ją samą.

## II.

Dużo czasu upłynęło, zanim Lucyan przybył do domu. Pan Rodowski ze swoją rodziną osiedlił się w miasteczku, pobliskim Kalinka, gdzie zadzierżawił grunta, tak zwane poduchowne, gdyż jako gospodarz i człowiek, który całe życie spędził na roli, nie uważał za stosowne szukać teraz innego dla siebie zajęcia.

Jakkolwiek dla Julci bardzo przykłą była ta zmiana, nie okazała tego po sobie i tem się tylko pocieszała, że teraz

będzie miała w bliskości grób mamy, ponieważ Kalinek należał do parafii miasteczka, więc paui Rodowska pochowaną była na jego cmentarzu.

Nowo przybyła rodzina zamieszkała dom na przedmieściu; dzieci miały dość powietrza i miejsca do zabawy, gdyż przed domem rozciągał się park obszerny, zarosły przez olbrzymie wierzby, ale sam dom, jak wszystkie zresztą w miasteczku, był niski, drewniany i w porównaniu z dworem kaliskim wyglądał jak wieśniacza chata. Tylko wewnątrz było w nim bardzo zacisznie i bardzo miło, gdyż całe urządzenie, staraniem Julci, przypominało Kalinek.

Do tej właśnie chaty miał przybyć Lucyan.

W dniu jego przybycia dziwny niepokój ogarnął Julcię.

Był to dzień ładny, słoneczny. Julcia chciała wyjść z dziećmi spacerem naprzeciw przybywającego, ale ojciec nie pozwolił. Za lada łoskotem przed domem spoglądała w okno i serce jej uderzało żywiej. Już po raz nie wiedzieć który czujność dziewczęcia omyloną została, więc Julcia przestała zwracać uwagę na łoskot dochodzący z zewnątrz, gdy Staś zawołał niespodzianie:

— Jakiś pan przyjechał!

W sieni dał się słyszeć szmer męzkich kroków, drzwi się roztworzyły, a na progu stanął młody pan w ubraniu podróżnym, z elegancką walizką w rękę, na którego widok Julcia podbiegła i rzuciła mu się na szyję.

Lucyan był bardzo wzruszony; przez chwilę w milczeniu przyglądał się dziewczęce, jakby w pamięci wywoływał jej obraz.

— To ty Julciu! wyrzekł w końcu. Wyrosłaś bardzo, nie byłbym cię poznał.

— I Stasia nie poznałbyś także, patrz! jaki to duży chłopiec.

— Prawda, ogromny. A ta malutka Zosia?

— Spi, nie mogę ci jej teraz pokazać.

— Stasiu! dla czego nie przywitasz Lucią? zwróciła się do niego.

Ale Staś nie posunął się do przywitania, tylko znalazł prawie, spoglądał na niego i widział, że był młody, ładny, elegancko ubrany, ale był to „pan”, obcy.

— Odwykl odemnie, rzekł Lucyan ze smutnym uśmiechem.

Ale Julcia myślała w duszy, że jemu przykro być musi, iż tak obojętnie jest spotykany na progach ojcowskiego domu i pragnęłaby, aby Staś innym się okazał dla przybyłego brata.

— Cóż ojciec? zapytał Lucyan.

— Jest w polu, ale zapewne niedługo nadejdzie, odrzekła Julcia.

Lucyan opuścił głowę i zaczął w milczeniu chodzić po pokoju tam i napowrót.

— Ale ty głodny musisz być po podróży, Luciu! zawołała Julcia. Masz przygotowaną przekąskę.

— Nie, nie, dziękuję ci, powiedział Lucyan, zatrzymując ją biegnącą z kluczykami ku drzwiom. Upewniam cię, jeść mi się nie chce wcale.

Ale Julcia wymknęła mu się i wybiegła, a za chwilę wróciła i zaprowadziła brata do jadalnego pokoju, gdzie zastał zastawione jedzenie. Jadł jednak bardzo mało, wydawał się bardzo znużony i bardzo smutny. Jedząc, albo raczej udając że je, wypytywał Julcię o sprawy domowe i całe ich obecne położenie. Ale Julcia dawała mu bardzo niewyraźne odpowiedzi, bo przeczuwaniem odgadywała, że gdyby mu przedstawiła całą prawdę, mogłoby mu to uczynić przykrość z wielu powodów, nakoniec posłyszawszy, że Zochina już wstała, porwała się z miejsca i wybiegła po najmłodszą siostrzyczkę, aby ją wystroić w nowy biały rurkowany fartuszek i zaprezentować bratu. Lecz wszelkie jej namowy i zachęcania, aby Zochina była grzeczną i powitała braciszka, rozbiły się o upor malutkiej osobki: jak tylko Lucyan zwrócił wzrok na nią lub przemówił, podnosiła piąstki do oczek i zaciskała je, nie chcąc patrzeć na niego.

— Zdaje mi się, Julciu, że oprócz ciebie, nikomu tu nie jestem bardzo pożądanym, powiedział Lucyan na wpeł żartem, ale ze smutkiem w głosie.

— O! nie mów tego, Luciu! zawołała z żywością Julcia, obaczysz że dzieci pokochają cię bardzo, przekonasz się, tylko widzisz, nie pamiętają cię, Zochna była taka maleńka, pamiętasz, jaka była maleńka, gdyś był w Kalinku, wtedy pamiętasz?

— Pamiętam nie miała jak pół roku.

— I była wtedy bardzo chora; zawsze sam jeździłeś po doktora dla niej, pamiętasz?

— Tak.

— A potem, jak zaczęła przychodzić do siebie, przypominam sobie, jakby to było wczoraj, siedziałeś nad jej kołyską i czytając książkę, oganiałeś ją gałązką z much.

(d. c. n.)



## WYBUCHAJĄCE OWOCE.

Leżą przed nami małe owoce podobne do cygar, długości najwyżej na trzy centymetry. Te owoce napełnione są nasionami brunatnymi i dają się dzielić na połowy. Wrzućmy taki owoc do szklanki napełnionej wodą; po upływie kilku minut usłyszymy huk, jak gdyby strzał z rewolweru. To owoc tak hałaśliwie pęka, a ze szklanki wytryskuje poruszona woda i wylatują nasionka w okóło.

U nas tej rośliny nie znajdziemy, gdyż rośnie tylko w krajach gorących, za to możemy spotkać się ze spokrewnionym z nią czerwiakiem, jedno i drugie należy do rodziny justynowych. Wszystkie prawie rośliny do tej rodziny należące mają owoce, które pękają po dojrzeniu, lecz nasz czerwiak ciszej zachowuje się przy tej sposobności od swego krewniaka ze stref gorących. Równie głośno rozrzuca swoje nasiona euforbia czyli wilczomlecz, której pękający owoc może nawet rozbić drobne przedmioty obok stojące, naprzykład lekkie szkło lub cienką porcelanę.

Z lekkim trzaskiem rozsiewa też swoje nasiona balsamina, roślina dość często hodowana w naszych ogrodach.

A. M.

# W pustyniach Australii.

PRZEZ

Włodysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

— Tak, tak, ja zawsze będę przy twoim boku, wuju! zawołał z zapalem Jerzy.

— I ja! dodał po prostu Abel.

— Odkrywaj nowe krainy, panie Arturze, odezwał się Halm, wycierając zamasyżycie nos w czerwoną chustkę; spodziewam się, że i entomologia skorzysta coś przy tobie... Góry w pośród pustyni — hm, w jednej tylko Afryce można się spotkać z taką kombinacją.

— Tak, ale w żadnej części świata nie znajdziesz pan tak niedostępnych łańcuchów, jak tutaj, odparł Dugan; właściwe góry Błękitne, na zachód od Sydneyu, spadają tak stromo ku wybrzeżu, że przez długi czas nie można było odnaleźć przez nie przejścia; inżynierowie, wytykający linię, musieli się opuszczać na linach w głąb przepaści bezdennych. Podobnymi właściwościami odznaczają się pasma położone we wnętrzu ładu. Na północo-wschód od jeziora Amadeusza wznosi się, jak panu wiadomo, niedawno stosunkowo odkryty łańcuch Macdonella, ze szczytem Giles, sięgającym tysiąca dwustu metrów wysokości; jest on niesłychanie spadzisty... Przypuszczam, że wyniosłości, które dostrzegamy, są jego odgałęzieniem; w takim razie, rzeczywiście czeka nas mozolna przeprawa. Góry Macdonella omal, że nie udaremniły przeprowadzenia wielkiej linii transkontynentalnego telegrafu.

Podczas gdy Dugan mówił, jego towarzysze spoglądali z przestrachem na wynurzające się przed nimi na horyzoncie tajemnicze wyniosłości. W parę godzin potem karawana wkroczyła w krainę tak dziką i ponurą, że mimowolny dreszcz wstrząsnął wszystkimi.

Wyobraźmy sobie zbiorowisko niebotycznych mas skalistych, poranych prostopadłymi szczelinami, a poza nimi, w niewielkiej odległości, wysoki na tysiąc przeszło metrów wał, porozcinany na szczycie szerokimi przełęczami, niby szczerbami od uderzeń jakiegoś kolosalnego topora. Po nad tym chaosem zaległa głęboka cisza, i w gorącym, czystym, nieruchomym powietrzu nie zadrżał najmniejszy szelest, nawet szum oddalonej katarakty; stoki gór ciemnożółtej barwy nie pstrzyła najbliższa zielona plamka; wszędzie naga, chropawa, bezduszna, piaskowa skała, odbijająca natężone światło dzienne. Daremnie znużone oko błędziło po jarach, wstępowało po stromych zboczach na wysokie przełęcze, wspinało się na dziwacznie ukształtowane szczyty; nigdzie w żadnym zakątku nie dostrzegło ani drzewa, ani trawy, ani nawet straszego, półmartwego skrubu. Pustka, pustka, przerażająca i martwota gnębiąca ducha, przygniatająca wyobraźnię, wstrząsająca dreszczem jak widok śmierci.

Podróżni zbliżali się do niegościnnych gór wolnym krokiem, w głębokim milczeniu, ze wzrokiem machinalnie zwróconym przed siebie. W tych pustkowiach, które zdawały się należeć do innego jakiegoś, pozbawionego mieszkańców świata, uwaga nie była zdolną zatrzymać się na niczem.

Ciszej tę przerwał nakoniec Jerzy.

— Br... rzekł, otrząsając się; dostaliśmy się do jakiejś górskiej pustyni, daleko dzikszej i bardziej odstraszej, aniżeli skrub i spinifeks. Drzę na samą tę myśl, że mógłbym tu pozostać sam jeden. Te nagie, połamane skały są chyba schronieniem złych duchów.

— Cyt! — przerwał znacząco stary Bob, kładąc palec na ustach: o tem niebezpiecznie jest mówić głośno... Nie-szczęście łatwo może nas spotkać.

— Masz słuszość, odparł chłopiec, tłumiąc uśmiech niedowierzania. Wuju, dodał, zwracając się do zamyślonego głęboko Dugana; czy te góry mają jaką nazwę?

— Prawdopodobnie nie mają, gdyż są nieznane geografom; oprócz Gilesa w tych okolicach nie powstała noga białego.

— Rzeczywiście, szukałem go daremnie na tej, którą zabrałem z sobą, a jednak z pomiędzy wszystkich, jakie się dotychczas ukazały, jest ona uważaną za najdokładniejszą.

— Ah, co za szczęście! zawołał Jerzy z błyszczącymi radością oczyma; nasza wyprawa nie spełni więc na niczem... Szkoda tylko, że te góry są takie ponure i nieprzy-



Heidelberg.

- A więc odkryliśmy nowy łańcuch!?
- Tak się zdaje
- Zupełnie przedtem nie znany?
- Bardzo być może.
- I którego nie naznaczono na mapie?

stępne; z pewnością człowiek nigdy nie zechce się osiedlić w takiej niegościnniej okolicy; a ten warunek zmniejszy bezwątpienia twoją zasługę wuju.

— Zapewne, lepiej byłoby, gdybyśmy odnaleźli żyzne pastwiska, lub chociażby lasy, jakkolwiek z punktu widzenia czysto naukowego, rzecz to obojętna.

— A czy o tych górach wspomina Wilski?

— W dokumencie wyraźnie jest mowa o górzystej krajinie, położonej w samym środku Australii; otóż znajdujemy się właśnie w pobliżu zwrotnika pod 138 prawie stopniem długości wschodniej od Greenwich. To mnie skłania do przypuszczeń, że nie my pierwsi stąpamy po zboczach tego dzikiego pasma gór.

Te słowa uczonego podróżnika, ostudziły nieco radość chłopca, który wolałby przypisać wujowi wyłączną zasługę wszystkich odkryć, jakie wyprawa miała poczynić. Trzeba było jednak oddać sprawiedliwie, co się komu należało.

Zatrzymano się na nocleg na dnie głębokiego parowu, do którego dostano się z niemałym trudem. Szumią tutaj, wśród rozrzuconych bezładnie głazów, nikły strumyk górski, w którym znaleziono czystą i nadszpodziewanie chłodną wodę. Dugan był zadowolonym z tego, że przynajmniej pustynne góry miały pod dostatkiem wody. Widocznie jednak ta trocha wilgoci nie wystarczała dla podtrzymania roślinności na zboczach.

Prawdopodobnie główną przeszkodę stanowił tutaj nieurodzajny, wietrzejący ciągle pod wpływem zmian temperatury piaskowiec, z którego wylądnie składały się podwaliny wyniosłości. Wyższa kondygnacja nosiła ślady pochodzenia wulkanicznego, gdyż miejscami czerniły się szczyty, uformowane z bazaltu; pomiędzy nimi zaś wprawne oko Dugana dostrzegło także formacje granitowe, gnejsowe i łupek syluryjski, którego ciemna barwa nadawała niektórym okolicom prawdziwie grobowy wygląd.

Nazajutrz posuwano się po spadzistem, wschodniem zboczu, zasianem dużemi bryłami piaskowca, które zapewne stoczyły się po pochyłości z wyższych pięter; wielbłądy postępowały wolno i z najwyższą trudnością; Abel i Jerzy, którym wypadło iść pieszo, potykali się często o kamienie i zbijali o nie nogi. Dugan postanowił iść tak wzdłuż gór, dopóki nie znajdzie przejścia na zachodnie stoki i przy tej sposobności robił staranną mapę przebywanej okolicy.

Na daremnych poszukiwaniach zeszyły trzy dni; karawana natrafiła tutaj na te same trudności, co przy przebywaniu pasma Dividing Range; pobyt w dzikiej okolicy znużył niezmiernie podróżników; badano więc starannie każdy napotkany wąwóz, próbując, czy nie prowadzi on czasem na drugą stronę.

Czwartego dnia rano, jadący na przodzie stary Bob zrobił niespodzianie ważne odkrycie, które wywołało wielkie wrażenie.

U wniścia do obszernego wąwozu zauważył jakąś miernie ułożoną piramidę z kamieni, wysoką na pięć metrów, i zakończoną patykami, na którego końcu powiewała chorągiew z czerwonej flaneli, widocznie zrobiona ze starej kołdry. Nie wiedząc, co to ma znaczyć, stary zatrzymał się, zsiadł z wielbłąda i zbliżył się do kopca.

Niebawem nadszedł Dugan i zastał starego odrzucającego kamienie.

— Co to jest? zagadnął.

— Widzi mi się, że to ludzie ułożyli, odparł Bob przezywając robotę; w środku musi coś być, trup, albo też co innego.

— Ten kopiec jest zamały na grobowiec; raczej znajdziemy w nim jakieś dokumenty; prędzej, trzeba zajrzeć do wnętrza.

Podróżnik przeczuwał, że przypadkiem wyprawa natrafiła na ślady europejczyków; kto oni jednak byli? Przecież ani Giles, ani Leichhardt, ani żaden z młodszych badaczy nie dotarł, o ile mu było wiadomo, w te okolice! A więc...

Po chwili kopiec runął i Dugan ze wzruszeniem ujrzał duże pudełko blaszane od konserw, spoczywające pomiędzy czterema płaskimi kamieniami.

— Proszę pana! rzekł Bob, podając je dowódcy.

Pan Artur wyciągnął drżące od wzruszenia ręce i pochwycił skwapliwie skrzyneczkę, która była, ku zmartwieniu Boba, bardzo lekka.

— Ciekawym... ciekawym... rzekł sam do siebie, podważając nożem wieczko.

Gdy blacha odskoczyła, Dugan i pochyleni nad jego ramieniem członkowie wyprawy, ujrzeni świeży arkusz papieru, zapisany wyraźnym pismem na pierwszej stronie.

— Dokument! rzekł Abel.

— Przez kogo podpisany? zagadnął żywo Jerzy.

Dugan odwrócił kartkę, przeczytał nazwiska położone na drugiej stronie i uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Znajdujemy się na dobrej drodze, rzekł; dokument ten pochodzi od wyprawy, do której należał Jan Wilski, nieszczęśliwy autor kartki z Little Downs.

— Nie może być! zawołał radośnie Tom; to znaczy, że trafiliśmy nareszcie do tego Eldorado.

— Czytaj pan, bo i ja chciałbym wiedzieć coś o losach tej wyprawy.

— Słuchajcie więc:

„Dnia 12 października 1892 roku, pod 22° 6' szerokości północnej a 137° 43' długości zachodniej. Nareszcie po całomiesięcznych usiłowaniach znaleźliśmy przejście przez góry, o czem prawie się zwątpiliśmy! Czeka nas jeszcze olbrzymia droga aż do Sydnej; wyruszyliśmy z Perth (zach. Australia) rok temu; wyprawa przebyła szczęśliwie zachodnie pustynie i dotarła aż do linii telegraficznej. W pobliżu jeziora Amadeus stoczyliśmy krwawą potyczkę z wojowniczymi krajozłotami, w której poległ Zylski, nasz botanik. Z całej wyprawy, która składała się z 6-ciu ludzi i 10-ciu wielbłądów, pozostało nas trzech: Ziemecki geolog, Liwski zoolog i ja, niżej podpisany. Dwaj nasi towarzysze zginęli w pustyni z pragnienia, w dwa miesiące po wyruszeniu w drogę. Utraciliśmy siedmiu wielbłądów, trzy pozostałe mają pokaleczone nogi od wspinania się po skałach i zdychają z głodu. Czeka nas podróż daleka i przechodząca nasze nadwątlone siły. Trudy opłaciły się jednak sowicie; odkryliśmy niezmiernie ciekawą pod względem geologicznym i geograficznym krainę, która według naszych przypuszczeń jest centralnym basenem Australii, przyjmującym wody podziemne.

„W miejscowości tej pozostawiliśmy szczegółowe sprawozdanie z naszych odkryć.

„Udało się nam również wynaleźć bardzo bogate placeiry złota i drogich kamieni; leżą one o parę dni drogi stąd na zachód. Nasze wielbłądy dźwigają duże worki piasku złotego... Obawiam się, czy to nie jest z naszej strony nieroztropnością, ze względu na ich stan... Ha! ryzykujemy!

„Ziemecki zaczyna stawiać kopiec, więc muszę zakończyć tę kartkę, której może nikt nie będzie czytał. Wąwóz prowadzi na drugą stronę łańcucha...”

Jan Wilski, mineralog.

Wacław Ziemecki, geolog.

Janusz Kalski, meteorolog.

Członkowie wyprawy naukowej polskiej, z ramienia Polskiego Kółka Geograficznego w Chicago.

Treść dokumentu, odczytanego przez Dugana wywołała silne wrażenie na naszych podróżników; nie spodziewano się wcale tak szczęśliwego trafu. Teraz miano w ręku niezbity dowód istnienia wyprawy zaginionej, a nadto cenne wskazówki, które znakomicie wyjaśniały sytuację i mogły się niemało przyczynić do powodzenia przedsięwzięcia.

Zatrzymano się u wejścia do wąwozu i wzięto pod poważną dyskusję treść kartki.

(d. c. n.)

## HEIDELBERG.

Wielkie księstwo Badeńskie znanem jest zarówno ze swoich źródeł wód mineralnych, jak i malowniczych okolic, wśród których leży starożytne miasto Heidelberg nad rzeką Neckarą, przez którą prowadzi piękny most ozdobiony posągami elektora Karola-Teodora.

Heidelberg słynie bogato uposażonym uniwersytetem, znanym pod nazwą Ruperta-Carolina, założonym przez palatyna Rudolfa I-go. Jest tu również kilka wzorowych zakładów średnio naukowych. Samo miasto lubo nie wielkie, gdyż liczy zaledwie około 20,000 tysięcy mieszkańców, posiada wszakże kilka pięknych kościołów i starannie utrzymywanych gmachów publicznych.

Zwracają tu również uwagę wspaniałe zwaliska elektorskiego zanku, wzniesionego jeszcze w XIV wieku, z piwnicą w głębi której mieści się arcydzieło bednarskiego kunsztu: słynna beczka heidelberska, obejmująca 283,209 butelek.

W pobliżu Heidelberga znajduje się góra Koenigsstuhl na 1750 stóp wysoka, ze szczytu której rozciąga się nieporównanej piękności widok na całą okolicę.

## CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

W połowie już drogi, otoczeni przez podążające ku nim łodzie i szalupy miejscowe, witani radosnymi okrzykami przez krajowców, odbywają uroczysty wjazd do portu wśród cisnącej się na brzeg ludności miejscowej i głośnych salw armatnich.

Dziękując zebranych tłumom za okazywaną sympatyę, przybyli podążają do pałacu gubernatora, który reprezentując władze francuskie, rządzi na Taiti i przyległych jej wyspach.

Drogę jaką przebywają, tworzy piękna aleja drzew pomarańczowych, palmowych i bananowych, z pośród zieleni których wychylają się śliczne wille, świadczące o dobrobycie ich mieszkańców.

Rozglądając się w około, przybyli mogą łatwo doznać złudzenia, iż znajdują się w jakimś uroczym zakątku Rivier, a jeżeli dodany, iż zarówno władza cywilna jako i duchowieństwo katolickiego kościoła reprezentowane jest przez współziomków Koncertującego Kwartetu, że oprócz oddziału wojska i znacznej marynarki, wyspa Taiti posiada wielu francuskich kolonistów, których język jest tutaj w powszechnem użyciu, nawet u krajowców, to nie zdziwi nas bynajmniej, że czterej artyści czują się tu odrazu jakby w ojczyźnie swojej.

W gustownym, piętrowym budynku otoczonym cieniistym parkiem, przybyli goście ze Standard-Islandu przyjęci są owacyjnie przez zebranych na ich powitanie oficerów i urzędników francuskich, a uprzejmość samego generał-gubernatora, człowieka o wyższej inteligencji i wytwornem wzięciu, nie przedstawia nic do życzenia.

W powitalnej, krótkiej przemowie, dziękuje on w imieniu swoim i mieszkańców Taiti, za sposobność poznania sławnej na świat cały Cudownej wyspy i wyraża nadzieję, że tegoroczna wizyta, powtórzy się lat następnych.

Czyniąc zadość formom, w chwili przedstawienia swych towarzyszy Cyrus Bikerstaff znajduje się w kłopotliwym nieco położeniu, nie wiedząc komu oddać pierwszeństwo Jem Tankertonowi czy też Natowi Coverley, obadwaj bowiem, jak mówi Ponchard usiłują wyprzedzić się wzajemnie, zostając jakby w nieustannym wyścigu.

Dopomógł mu w tem domyślny generał-gubernator, który dyplomacją swą i taktem umiał zadowolnić w zupełności obie, tak drażliwe w tym względzie strony.

— Sądzę, że zamysłacie panowie, — dodał w końcu uprzejmy gospodarz, zabawić nieco dłużej brzegów naszych, a w takim razie, nie odmówicie nam uświetnienia obecnością waszą i waszych rodzin, wielkiego balu i różnych zabaw, jakie miasto przygotowuje dla spodziewanej w tych dniach eskadry marynarki francuskiej.

Dziękując za ten dowód szczególnych względów prezydent Miliard-Citty zapewnił gubernatora, iż gdy w zakreślonym planie tegorocznej podróży, wyznaczone są dwa tygodnie na zwiedzenie Taiti i wysp sąsiednich, przekonany jest, że z przyjemnością prawdziwą mieszkańcy Standard-Islandu wezmą udział w miejscowej uroczystości.

Opuściwszy pałac generał-gubernatora, Cyrus Bikerstaff wraz z całym otoczeniem, idzie złożyć wizytę Jej Królewskiej Mości, mieszkającej w pięknej rezydencji w stylu włoskim, której lekkie kontury, zdobne w balkony i werendy sprawiają na podróżnych jak najprzyjemniejsze wrażenie. Ze wznoszącej się nad dachem wieżyczki, powiewa chorągiew Archipelagu w poprzeczne czerwone i białe pasy, bo jakkolwiek mieszkańcy tutejsi uznali protektorat Francji, pragną jednak zachować do pewnego stopnia indywidualność swą narodową, a rezydująca w Papeete królowa uważana jest przez krajowców za rzeczywistą władczynię rozległych posiadłości jej przodków; zresztą dość liczne jeszcze są ziemie wysp Towarzyskich zostających dotychczas w zupełnej niezależności, pod rządem udzielnych królików i książąt.

Już w roku 1706 śmiały żeglarz Quiras, przybył pierwszy do brzegów Taiti, którą nazwał Sagitaria; po nim kolejno zawijali tutaj Walis w 1767 r. i Bougainville w 1768 r. w którym to czasie rządziła wyspą królowa Oberea, a po zmarłej bezdzietnie, zasiadła na tronie sławna dynastia Pomare'ów. Trzeci z tej rodziny monarcha, dozwolił wstępu w granice swego państwa misyonarzom angielskim i sam nawet przed śmiercią przyjął chrzest św. Panujący już w 1846 r. książę Tuariva przepędził młodość swoją we Francji, gdzie pobierał staranne wykształcenie, a powróciwszy do ojczystych swych wysp, sprowadził licznych kolonistów i duchowieństwo francuskie, darząc ich hojnie łaskami i przywilejami, w zamian za szerzenie światła wiedzy i religii.

Lecz osiedleni dawniej na Archipelagu misyonarze angielscy, nie tak łatwo zrzekli się wpływów swoich; zbuntowana przez nich ludność, wszczęła krwawe walki, skutkiem których młody monarcha, ustąpić musiał z tronu. Ogłoszona wtenczas rzeczpospolita nie długo przeciw trwała i gdy rząd francuski, umocnił tu swój protektorat, osadził na opustoszałym tronie Taiti, królową Pomare I, która dalsze ziemie wysp Towarzyskich oddała dzieciom swoim, zadawalniając się samą spokojnem życiem, jakie pędzić mogła w Papeete pod opieką trójbarwnego sztandaru Francji.

Szczegóły te historyczne opowiada towarzyszom swoim wypytywany o to Francolin, a dokładnością swęj wiedzy zasługuje rzeczywistnie na zaszczytną nazwę „Larousse'a stref południowych” jak go stale tytułuje kolega Ponchard.

Gdy jednak Sebastian Vailant utrzymuje, że są to rzeczy całkiem mu obojętne, entuzjastyczny Yvernes, przypominając sobie czytane niegdyś śliczne notatki z podróży Bougainville'a i Duinont'a unosi się nad szlachetnością charakteru królewskiej rodziny Pomare'ów.

Panująca obecnie królowa Pomare IV, mogąca liczyć lat około 40, przybrana w powłóczyście jedwabie jasno-różowego koloru, który jest też barwą jej dworu, przyjmuje reprezentację Standard-Islandu w otoczeniu swej rodziny i znaczniejszych krajowców, z pewną ostentacją i z zachowaniem

wszelkich form, będących w użyciu na panujących dworach Europy.

Władając poprawnie językiem francuskim, wyraża wysokie swe zadowolenie z przybycia pływającej wyspy, którą oddawna pragnęła zwiedzić, znając ją dotychczas z opisów tylko.

Obdarzwszy każdego z obecnych kilku słowami łaskawej uprzejmości, nie pominęła też stojącej obok czwórki artystów, wyrażając otwarcie, iż cieszy się bardzo nadzieją posłyszenia ich gry prześlizanej.

— Jesteśmy na rozkazy Waszej Królewskiej Mości! — odpowiedział z głębokim ukłonem dyrektor Kwartetu, a Kalikstus Munbar dodał, iż dołoży starania, by program koncertu przedstawił się jaknajświetniej.

Po półgodzinnej audyencji z zachowaniem form ceremoniału dworskiego, delegacja Standard-Islandu opuściła pałac królewski. W powrotnej jednak drodze przez miasto zaproszoną została do miejscowego klubu oficerskiego, gdzie przy sutym śniadaniu, wśród słów szczerzej sympatyj, wznoszono liczne toasta złocistym płynem szampań.

## UROCZYŚCIE I ZABAWY.

Piękno przyrody i warunki życia jakie przedstawia wyspa Taiti skłoniły wielu miliardowiczów do wyszukania sobie, na czas nawet tak krótki, mieszkań wygodnych, do których, opuszczając swe pałace zaraz pierwszego dnia po przybyciu do portu, spieszyli, niby owi mieszkańcy Paryża do letnich siedzib na prowincyi wraz z nastaniem cieplejszej pory.

Pierwszemi naturalnie były rodziny: Cowerley'ów i Tankertonów; tance osiedlili się w pięknej wili u stóp góry Wenus, wznoszącej się po drugiej stronie miasta, ci wynajęli malowniczy szkaś od krajowców na wyżynie Tao.

W takim położeniu rzeczy przestrzeń paromilowa dzieli nieprzyjazne sobie rody i chociażby to młodemu Walterowi nie zupełnie dogadzało, nie było w jego mocy zbliżyć ku sobie dwa odległe punkta wybrzeży Taiti.

Ponieważ w dniu ogólnej tej rumacyi oczekiwana była rewizyta generał-gubernatora z Papeete, więc Francolin zdziwiony usunięciem się przed tą ceremonią pierwszych potęg finansowych miasta, uczynił w tym względzie uwagę Kalikstusowi Munbar, który ze znaczącem wyrazem twarzy odpowiedział:

— Nie mamy czego żałować, owszem tem lepiej, unikniemy bowiem choć raz jeden trudności, jakie nam ambitne te figury na każdym stawiają kroku!

Gdy w poobiedniej porze, generał-gubernator i znaczniejsi mieszkańcy Papeete, w galowych ubraniach i wspaniałych, z francuskimi flagami łodziach, zbliżali się do Tribor-Harbour, powitani zostali licznymi salwami armatnimi rozlegającymi się z obu baterji wyspy, a oczekujący na gości Cyrus Bikerstaff wraz ze swem otoczeniem przyjął wszystkich z honorami, należnymi ich stanowisku.

Strojne w chorągiewki o barwach francuskich i miejscowych, wagony elektryczne, przewożą wszystkich do stolicy Standard-Islandu, gdzie w gmachuratuszowym, przysposobio-

no już wspaniałe recepcyjne sale. Licznie zgromadzona na ulicach publiczność miasta, objawia przybyłym głośnie okrzykami, przyjazne swe dla nich usposobienie.

Po krótkim odpoczynku i obustronnej zamianie słów prawdziwej sympatyj, z wielkiem zajęciem zwiedzają przybyli wszystkie osobliwości Cudownej wyspy, począwszy od wspaniałych świątyn, pałaców i fabryk siły elektrycznej do pięknych ogrodów i pól nawodnionych sztucznym deszczem.

Sama budowa Cudownej wyspy wzbudziła w inteligentnym generał-gubernatorze szczerzy podziw dla geniuszu ludzkiego, to też gdy po wystawnym obiedzie w Casino, wieczorem już żegnał pana Ethel Simoe, dziękował mu wielokrotnie za daną mu sposobność poznania rzeczy tak nadzwyczajnych.

Nazajutrz, nie zaprosiwszy nikogo więcej do towarzystwa pominawszy nawet ziomka swego, profesora tańca, Koncertujący Kwartet kazał się przewieść do Papeete, zamyślając z całą swobodą zwiedzić miasto i ważniejsze miejscowości Taiti.

Prześlizne wybrzeże z malowniczymi willami i szaletami, wspaniałe magazyny portu, ważniejsze gmachy i pałace w mieście, wszystko pobudza ich ciekawość dając w zamian istotne zadowolenie ich estetycznym upodobaniom.

Po całodzienniej bezustannej wędrowce, strudzeni artyści spoczęli zaledwie na godzin kilka, by zaraz wczesnym rankiem podążyć w głąb wyspy szerokim traktem, na którym kursują liczne tramwaje systemu amerykańskiego. Usunawszy się od ruchu i gwaru podmiejskiego, rozkoszują się zachwycającym krajobrazem wzgórz, lasów i pięknie uprawnych pól, wśród których widnieją bogate fermy kolonistów francuskich lub oryginalne w swej budowie mieszkania Taitanów; pierwsze, po większej części drewniane z dość wysokiem podmurowaniem, nie zostawiają nic do życzenia pod względem wygody i elegancji, drugie rozrzucone fantazyjnie po wzgórzach, splecione z bambusów i pokryte matami z włókna kokosowego, przedstawiają widok niezwykły a przyjemny dla oka, czystością i starannością jaka dokoła nich widnieje.

Taitanie pochodzenia malajskiego, przed laty równie dzieć w swych obyczajach, jak ludożercze plemiona ich pobratymców, dzielili swą ludność na trzy odrębne kasty: czcigodnych księżąt i kapłanów zarazem, którym przypisywano moc czynienia cudów, podwładnych im rolników i wydzielonego ze wszystkich praw, w pogardzie zostającego ludu roboczego.

Pod wpływem religii i cywilizacji, stosunki te uległy wielkiej zmianie, dziś prawie wszyscy równi sobie, przedstawiają sympatyczny typ ludzi o bystrzej inteligencji, odważnych i żywych z charakteru, a wyjątkowo pięknych rysach twarzy i jak posągi starożytne klasyczną budową ciała.

To też nie rzadko, gdy jeden z artystów woła na widok przechodzącego krajowca: „Tam do licha, jakiż piękny chłopak!” a inny dorzuca: „ot, co za śliczna dziewczyna!”

(d. c. n.).

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

IREŚĆ: Osobliwe drzewo (z drzew.). — Syn marnotrawny, powieść p. E. Jerlicza. — Wybuchające owoce (z drzew.) — W pustyniach Australii przez Władysława Umińskiego. — Heidelberg (z drzew.). — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Dodatek: Spiąca żabka (z drzew.). — Dobry wujaszek, p. Helenę Bojarską. — Historia Gryziwiórki, wiersz p. Zofię Mrozowicką. — Dzielný Julek, p. Marzannę. — Szarady, łamigłówni i rozwiązania — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na dworze landgrafów Turynji, opowiadanie Teresy Jadwigi.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою, Варшава 24 Іюля 1895 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



# WIECZORY RODZINNE



## SPIĄCA ŻABKA.

Wam do snu potrzeba często usłanych łózek, ciepłych kołderek, miękkich poduszek; owady i gady nie tyle wygod wymagają; natura uposażyła je odpowiednim strojem członków, który z nich robi tak zręcznych akrobatów, iż bez wysiłku po gładkiej powierzchni umieją biegać głową na dół spuszczoną. Jest pewien gatunek jaszczurek z nogami opatrzonemi w haczyki, ułatwiające im utrzymanie się na owej gładkiej, prestopadłej powierzchni. Muchy wydzielają z nóg rodzaj kleistego płynu, dającego im możność chodzenia po ścianach i suficie. Lepkie członki również mają żaby, mogące na gałęziach drzew dowolne położenie ciała przybierać. Przedstawiona na rycinie naszej żaba, odbywa w taki sposób drzemkę poobiednią; z głową w dół zwieszoną.

Błogie sny żabki jednak przerywane bywają przez muchy i różnego rodzaju owady, brzęczące nad wodą. O czym żabki śnić mogą? Pytanie to zostawimy do rozstrzygnięcia bujnej wyobraźni czytelników naszych, sami wspomniemy tylko o zwyczaju zachowywanym przez żaby, obierania stale jednego miejsca na wypoczynek nocny, nie zaglądając doń nigdy w ciągu dnia. Pewien naturalista zauważył żabę, kryjącą się zawsze na noc pod liście koniczyny, która po śnie w dwóch równej odległości skokach, dostawała się z powrotem do sadzawki. Dla dokładniejszego zbadania rzeczy, nasz naturalista

ze ścisłością matematyczną oznaczył miejsce, gdzie żabie skoczyć wypadało i postawił tam statek z wodą. O właściwej porze spostrzegł poruszające się listki koniczyny, pod którymi żaba układała się do spoczynku. Po jakimś czasie wypłoszona ztamtąd przez naturalistę żaba, skoczyła i padła w sam środek podstawionej miseczki z wodą; zrażona tem widocznie nie powróciła już więcej do miejsca stałych noclegów.

## DOBRY WUJASZEK.

— Leoniu, pobaw się troszkę z Lucią i Jasiem, rzekła raz mama do najstarszej swej córeczki, oni się tak nudzą, nie umieją sobie wymyślić żadnej zabawy a ja w tej chwili nie mam na to czasu, zajmij się rodzeństwem moje dziecko!

— Ah mamusiu, ja doprawdy nie umiem bawić się z małymi dziećmi i zająć ich nie potrafię, powiedziała z poważną miną trzynastoletnia Leonia.

— Bo nie chcesz...

— Widzi mateczka ja jestem o tyle starsza... rozumniejsza... trudno mi się więc zastosować do pojęć takich malców, tłumaczyła się Leonia.

— E, moja duszko, najstarsi i najpoważniejsi ludzie umieją wybornie zabawiać dzieci i sami też nieraz znajdując w tem przyjemność. Trzeba ci o tem wiedzieć, że im kto rozumniejszy, tem łatwiej umie się zastosować do każdego wieku. Słuchaj co ci powiem. Pewien sławny uczoney angielski nadzwyczaj lubił dzieci, a że miał gromadkę małych siostrzeńców, przeto najchętniej z nimi przebywał i doskonale umiał się z nimi bawić.

— Czyż to być może? zapytała z niedowierzaniem Leonia.

— Może, odrzekła matka i tak mówiła dalej.

Pocziwy wujaszek był niewyczerpany w pomysłach, wynajdywał coraz to nowe zabawy, obmyślał różne gry zniżając się do pojęć dziatwy.

Czasami urządzano cukiernię i nibyto sprzedawano cukierki i różne słodycze, to znów zakładano sklepy, niekiedy wesoło szła zabawa w kotka i myszkę, najwięcej zaś lubiły dzieci urządzać z różnych pism jaskinię, do której chował się wujaszek, udając tygrysa: wybiegał nagle zaczynał gonić dzieci te uciekały z krzykiem udanego przestachu, wreszcie wujaszek-tygrys schwycił które uprowadził ze sobą do jaskini. Co to było śmiechu i uciechy!

— Moja mateczko, ten uczoney bawił dzieci, ale sam przecie nie podzielał ich przyjemności — rzekła Leonia było to zawsze z jego strony poświęcenie.

— Nie moje dziecko, bo zabawa siostrzeńców i jego też bawiła, zwłaszcza gdy sam coś obmyślił, a gdyby to nawet było poświęcenie jak tobie się wydaje, to i ono też sprawiłoby mu pewną przyjemność i zadowolenie. Wierzę mi, że bardzo jest miło zrobić coś dla drugich. Niemłody uczone nie uważał sobie za ubliżenie bawić się z dziećmi, gdy tymczasem niejedyn młody chłopiec udaje powagę, za nic nie przylączyłby się do zabaw swoich siostrzynek i braciśzków; ot i ty nie masz chęci zabawić się z rodzeństwem...

— Pobawię się, mameczko, pobawię, a jak zobaczę, że mi nieźle pójdzie, to codziennie poświęcę na to trochę czasu, rzekła Leonia całując ją w rękę.

— Dobrze duszko żeś mię posłuchała, pamiętaj też o tem, że gdzie więcej rozumu, tam i prostoty więcej.

*Helena Bojarska.*

## Historia Gryziwiórki.

Gryziwiórka, myszka mała,  
Swojej mamy nie słuchała.  
Mama mówi: „Ej! córeczko,  
Nie masz, nie masz jak gniazdeczko!  
Zostań przy mnie, moje dziecko,  
Nie wybiegaj w świat nieznanym!  
Czyha na nas tam, w tym świecie  
Wróg straszliwy, kotem zwany;  
A to łatwiej niż się zdaje  
W jego straszne wpaść pazury —  
Zostaw kotom górne kraje,  
Myszko! pilnuj swojej dziury.”

Ale zła to była córka  
Mością panna Gryziwiórka.  
Mówi sobie: „Że się mama  
Lada szmerem boi sama,  
To i ja mam wierzyć w strachy?...  
Dla mnie podróż jest rozkoszą!  
Muszę zwiedzić raz te gmachy  
Co nad nami się podnoszą,  
I tak pięknie zwą „pokoje” —  
Żadnych kotów się nie boję!”  
Mama woła: „Wróć się z drogi!”  
Ale myszka ani słucha,  
Ani zważa na przestrogi,  
Tylko wzięwszy za pas nogi  
Pędzi co jej starczy ducha,  
Aż wypada z pod podłogi.  
Rozejrzała się w około...  
„Jak tu widno i wesoło!”  
Patrzy, patrzy, aż pod piecem  
Cztery koty siedzą wiecem!  
Białe, czarne, krase, bure —  
Oczy błyszczą — grzbiet się jeży —  
Nastawiły ostro uszy  
Czy się myszka gdzie nie ruszy...  
Nasza śmiała ma naturę,

Niewstrzymana dalej bieży,  
Mówi sobie: „Wiem ja o tem  
Że wciąż w wojnie myszy z kotem;  
Lecz to pewno myszy winne —  
Nie dość grzeczne i uczynne —  
Obgadują rodzaj koci.  
Kot, to widzę śliczne zwierzę!  
Gdy mu sąd ten powiem szczerze  
Zadziwi się mej dobroci  
I pochwali wychowanie!  
Rzeknie: „Inne myszki-panie  
Nie umiały jak należy  
Mówić do nas — gdyś ty taka,  
Jam ci druhem, jak najszczerzej!  
I miał co tchu dać drapaką,  
Posunęła mysz z ukłonem,  
A podparłszy się ogonem  
Z gestem wznosi łapki przednie  
I zaczyna swoje brednie. —  
Koty śmieją się pod wąsem,  
Już im myszka pewnym kąsem!  
A gdy ujsć im już nie może  
Wpierw chcą jeszcze igrać trochę —  
Nie zgaduje mysz nieboże  
Że z niej stroją żarty płocze,  
I z uśmiechem, z siebie rada,  
Na pytania odpowiada.  
— Skądże, panny Gryziwióry,  
Ród dostojny? „Z mysiej dziury.”  
— „Jak tu pani przyszłaś sama?”  
— „Przydreptałam po podłodze  
Choć mi broni moja mama  
Ja gdzie zechcę sobie chodzę!...”  
— „A gdzie teraz twoja droga?!”  
Strasznym głosem wrzasań koty —  
„Gwałtu!” — krzyczy mysz nieboga  
Już śmiertelne czując poty —  
„Mamo ratuj!” — Próżne wrzaski!  
Było słuchać! Nie ma łaski!

*Zofia Mrozowicka.*

## Dzielny Julek

przez

**Marzannę.**

(Ciąg dalszy).

Jak gdyby Jaś mógł nie pamiętać jego dobroci i przebaczeniu. Od tego dnia zmienił się zupełnie i okazywał względem wszystkich niezmierną uprzejmość. Niektórzy nawet się dziwili i nie mogli pojąć co się z Jasiem stało. On zaś szczególną uwagą i troskliwością otaczał biedne kaleki, bo zrozumiał, że Pan Bóg zsyła na nich nieszczęście, aby im tem większą miłość okazać.

Nareszcie wróciła pogoda i ciepło. Julek zaczął znowu chodzić do szkoły i zadziwiał nauczyciela pilno-

ścią. Często się uczył w godzinach wolnych, kiedy Kazio i Jadzia bawili się w ogrodzie. Dlatego większe robił postępy od braciszka i większe pochwały odbierał od nauczyciela:

Pewnego razu, kiedy Julek siedział na krześle pod rozłożystym kasztanem, przyszedł do niego ojciec i rzekł:

— Mój synu drogi, powiedz mi ile masz lat?

— Jedenaście i sześć miesięcy.

— Jaki z ciebie stary człowiek, — zawołał pan Żeliborski siadając na trawie obok niego. Ale jesteś nad wiek rozwinięty. Jak ci się zdaje, czy potrafiśz być pomocą mamie jeżeli ja wyjadę?

Julek patrzył na ojca, i spostrzegł, że żartobliwy ton mowy ukrywał niepokój i trwogę.

— Zdaje mi się, że potrafię, — odrzekł po krótkim namyśle. Wszystko zrobię, żeby mamie było dobrze, ale dokąd tatuś pojedzie?

Wtedy pan Żeliborski opowiedział mu, że bardzo bogaty jego klient, prosił go, aby pojechał na Litwę i oceenił majątki, które chciał nabyć.

— Najgorzej ze wszystkiego, że będę musiał wyjechać na długo, może na całe pół roku.

Julek spoważniał. Co oni będą robić bez ojca?

— Biedna mama, nie będzie się miała kogo poradzić i nikt jej pieniędzy nie da.

— Co do pieniędzy, tych wam dosyć zostawię w banku. Mama będzie często do mnie pisała i ty pisuj mój chłopcze długie listy, to nawet będzie dobre dla wprawy, jako dla przyszłego autora.

— Dobrze tatusiu, będę pisał i będę się mamą opiekował. Czy mama już wie?

— Już jej mówiłem.

— A Jadzia i Kazio?

— Nie, żadne z nich jeszcze nic nie wie. Chciałem wpiery z tobą pomówić..

Julek był uszczęśliwiony, że ojciec go uważał jakby za dorosłego.

— Tatusiu, — rzekł, całując go w rękę, doprawdy tatuś może mi zaufać.. Będę robił wszystko co jest w mojej mocy, żeby się mama nadto nie smuciła i nie dam jej za dużo pracować.

W kilka dni później, gdy interesa były załatwione i rzeczy upakowane, nadszedł dzień wyjazdu pana Żeliborskiego, Julek żegnając się z ojcem szepnął mu do ucha.

— Niech się tatuś nie lęka, jestem już prawie dorosły, będę mamie we wszystkim pomagał.

— Niech cię Bóg błogosławi moje drogie, kochane dziecko, — rzekł wzruszony ojciec przyciskając syna do serca.

#### BANKRUCTWO.

— O mój Boże, co my teraz pocniemy! — zawołała pani Żeliborska wypuszczając z rąk dziennik.

— Co się stało mamusiu? — zapytał Julek.

— Donoszą tu, że bank w którym ojciec złożył pieniądze dla nas, zawiesił wypłaty.

— Mamusia powiada, że zbankrutował?

— Tak.

— I pieniądze tatusia przepadły?

— Właśnie się tego obawiam, — odrzekła matka bardzo zaniepokojona. Muszę pojechać do miasteczka, gdzie się znajduje filia tego banku i dowiem się prawdy. W tej gazecie powiadają, że wszystkiemu są winni dyrektorowie.

— Mamusiu, niech mię mama weźmie z sobą, — prosił Julek, niech mię mamusia weźmie. Ojciec kazał, że bym się mamą opiekował.

Pani Żeliborska popatrzyła na niego i usmiechnęła się. Taki był słaby, wątpy, a miał takie odważne serduszko.

Wtedy Kazio, który dotychczas przysłuchiwał się w milczeniu, zaczął prosić ciocię, żeby jego wzięła ze sobą. Ja mogę prędzej chodzić niż Julek, zawołał nie zastanowiwszy się, że jego słowa sprawiają przykrość bratu.

— Nie, Julek ze mną pojedzie, — rzekła prędko pani Żeliborska, widzisz Kaziu, was obu wziąć nie mogę, jeden musi iść do szkoły i wytłumaczyć kolegę przed nauczycielem.

Kazio nie odpowiedział i wyszedł rozgniewany z pokoju. Nigdy nie zazdrościł tak Julkowi jak dzisiaj, wuj kazał biednemu, schorowanemu chłopcu pomagać matce, a jemu nic nie powiedział, choć był większy i silniejszy. Dla ciotki, którą zawsze kochał, dałby się posiekać, a tu i ona wybrała Julka, a jego zostawiła.

Powoli jednak zazdrość i gniew zmieniły się w uczucia lepsze: przypomniał sobie dobroć wujostwa, serdeczność, z jaką go przyjęli i która nie ustawała nigdy, choć ich synowi taką krzywdę wyrządził. Pomyślał nad tem, że na całym świecie nikt nie jest lepszy od ciotki Maryni tak cichej, łagodnej, kochającej.

Kiedy powiedział nauczycielowi o nieszczęściu ciotki i że Julek na lekcję nie przyjdzie, siadł przy stole, ale zamiast się uczyć, jął rozmyślać o bankructwie i wpadł w ogromny gniew na dyrektorów, którzy w jego mniemaniu zabrali pieniądze ciotki. Wuj im je powierzył myśląc, że są uczciwymi ludźmi, a oni tak zawiedli jego zaufanie.

Po obiedzie, bo żeby nie wracać do domu Kazio jadł obiad z kilku innymi chłopcami u nauczyciela, ten go zapytał: Kaziu czy nie zechciałbyś zanieść odemnie listu do pana Wolińskiego; zdaje się, że ci to będzie po drodze a mnie bardzo idzie o pospiech.

— I owszem proszę pana.

— Zaczekaj także na odpowiedź, ale nie potrzeba mi jej zaraz przynosić, jutro mi oddasz, jak przyjdiesz do szkoły.

— Dobrze proszę pana, rzekł jeszcze raz Kazio, uprzejmy teraz dla wszystkich, zwłaszcza dla nauczyciela, którego bardzo ceniał

— Czy pan Woliński nie jest jednym z dyrektorów banku naszego, zapytała żona nauczyciela, kiedy Kazio opowiadał o nieszczęściu ciotki.

— Zdaje się, że tak. Co mówiłeś Michasiu?

— Tak jest z pewnością, odrzekł Michaś, najstarszy i najlepszy uczeń, który zaraz o wszystkim lubił decydować. Tym razem omylił się jednak, ale Kazio nie wie-

Kwadratu magicznego:

S	U	M
U	F	A
M	A	K

### Skrzynka do listów.

Nadesłane bajeczki przez *Reginę* dla zupełnego braku wymaganych form wierszowych drukować nie możemy. Jeżeli jednak autorka znajduje przyjemność w układaniu rymów, radzimy czytać uważnie utwory poetyczne naszych autorów, w celu zapoznania się z tak niezbędną w poezji formą, a pewni jesteśmy, że kiedyś wdzięczną nam będzie na nasz sąd dzisiejszy.

Prawdopodobnie *Rybak z nad Baltyku* jest już w posiadaniu wysłanej mu nagrody. Rozwiązanie lamigłówek trafne, również dobre nadesłał *Leon G.*

*Bez podpisu* nadesłane szarady, lamigłówki i zagadki Redakcja otrzymała. Nie wszystkie przecież nadają się do druku, niektóre bowiem temata np. „Mikołaj Kopernik” wielokrotnie już obrabiane były. W każdym razie widoczna staranność w pracy, dobrze świadczy o nieznanym nam autorze, a takie dowody witamy zawsze z żywą radością u młodych czytelników naszych.

Nie dziwimy się bynajmniej *Wróżbiarko szczęściu*, że taki urok ma dla ciebie dom rodzinny, że wszystkie w nim kącki tak miłymi, wszystkie rosnące pod twoim okienkiem róże tak wonnemi ci się wydają! Wszakże w bajce o żółwiu i myszy, której prawdopodobnie każdy z nas uczył się w dzieciństwie, powiedz ane jest przez usta napominającego mysz żółwia: miej ty sobie pałace. — ja mój domek ciasny, — prawda nie jest wspaniały, szczupły, ale własny. Chwalimy też szczerze cel jaki wytknęłaś sobie w życiu Wróżbiarko, iżby własną pracą zebrać potrzebny fundusz na odzyskanie „ukochanego donku” i życzymy, aby usiłowanie twoje w tym kierunku jaknajprędzej pożądanym skutkiem uwieńczone zostały.

Zarzucasz nam *Zosiu D.* że jaskółki płochliwe i trudniejsze do przyswojenia niżeli inne gatunki ptaków; na poparcie dowodzenia tego powiadasz, że masz śliczną parę gołąbków, które na ramieniu ci siadają, że kanarek twój z ręki cukier zjada, że posiadałaś dawniej kuropatkę, jak piesek biegnącą w ślad za tobą, a dołąd nie widziałaś oswojonej jaskółki, któraby nie uciekała przed człowiekiem. Pochodzi to głównie z tego powodu, że jesteśmy gatunkiem wędrownych ptaków, a tem samem nie mamy sposobności przywiązywać się do ludzi. Oni przytem częstokroć niemiłosiernie z nami się obchodzą, dla bezmyślnej i bezpożytecznej zabawki zabijają nas setkami; my jednak nie pomnąc wyrządzonej nam krzywdy obieramy ich pola i ogrody ze szkodliwych owadów i pamiętamy o tem jedynie, że Bóg chce, aby każda żyjąca według praw Jego na świecie istota za złe, dobrem odpłacała.

Tak jowabnie opisujesz swoją okolicę kochana *Wróżbiarko*, iż miałabym ochotę skorzystać z uprzejmych twoich zaprosin i razem z tobą bując po owym tajemniczo szumiącym lesie, do którego prowadzi droga kasztanami wysadzona. Wierna jednak zasadzie, obowiązek przed przyjemnością, tam podążam obecnie, gdzie mnie głoś tego obowiązku wzywa. Wycieczkę w wasze strony odkładam na później, czekając, iżbyś pierwej, jak to w liście obiecujesz, szczegółowym opisem miejscowości, dokładniej mnie z miastem waszem obznajomiła.

Ucieszyłaś mię bardzo srebrna *Gwiazdko* liścikiem i przysłała mi fotografią. Za jedno i drugie dziękując serdecznie zapewniam, że wizerunek twój, chociaż z dawniejszych już lat, pozostanie zawsze miłą pamiątką dla przyjaznej ci

*Jaskółki.*

### SZARADA.

E. L.

Pierwsze z drugim to metal używany wszędzie,  
Drugie samo w przyimków znajduje się rzędzie,  
Pierwsze z trzeciem, to imię sławne z dawnych wieków,  
Pełne grozy dla Persów, a chluby dla Greków.  
Wszystko jest rodzaj lauru, w ciepłych krajach wzrasta.  
Dostarczając przyprawy do lekarstw i ciasta.

### ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

ułożył Stanisław M. dla czytelników Wieczorów.

*	*	*	*	*	*	*	*	Ułożyć 5 wyrazów ośmio-
*	.	.	.	.	.	.	.	zgóskowych, aby wiersz pierw-
*	.	.	.	.	.	.	.	szy, oraz pierwsze litery ozna-
*	.	.	.	.	.	.	.	czone gwiazdkami, utworzyły
*	.	.	.	.	.	.	.	imię i nazwisko znakomitego
								poety włoskiego XVI wieku.

1. . . . .
2. Dowódca Arkadyjczyków w wojnie Trojańskiej.
3. Najpierwszy z wielkich myślicieli w starożytn.
4. Stolica europejskiego państwa.
5. Jeden z najcelniejszych poetów rzymskich, czasów augustowskich.

Sylaby: o—stock—so—a—tor—wi—holm—kra—ga  
—qua—dyusz—tes—pe—to—nor.

### REBUSIK.

ese	ese	ese	ojco	ojco	ojco
ese	le	ese	ojco	wie	ojco
ese	ese	ese	ojco	ojco	ojco

### ROZWIĄZANIE DO N-ru 30

Szarady: Bób.

Zagadki: Tuli — pan.